Serdeczny PRZYJACIEL LUDZI

„Bez uśmiechu żyć się nie da" — mówi Pan Profesor Dega.

PRZYJACIÓŁ poznaje się w biedzie — mówi przysłowie a każdy z nas sprawdza jego słuszność we własnym, choćby najskromniejszym doświadczeniu.

Bezwładność lub utrata rąk, nóg, niemożliwość pracy, poruszania się — czyż może się zdarzyć człowiekowi większe nieszczęście i większa bieda? A jednak nawet wtedy nie jesteś sam. Znalazł się bowiem twórca o wielkim sercu i rozumie, który ludziom kalekim poświęcił już 50 lat swego życia i pracy. Wprzęgnął w służbę dla nich wszystko, co w tej dziedzinie osiągnęła nauka światowa, a ideą przywracania kalekim możliwości życiowych natchnął całe pokolenia polskich lekarzy ortopedów, a także ludzi rozmaitych specjalności tworząc polską szkołę i polską koncepcję rehabilitacji.

C.d. na str. 4–5

Ilu tu już chorych operował Profesor, może 8, może 10 tysięcy... Ci chłopcy też Mu wiele zawdzięczają. Łączy ich z Profesorem wielka przyjaźń i obiad w Jego towarzystwie lepiej smakuje.

Foto: K. Adamowski

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 99 (1883) 12 grudnia 1969 r. Cena 50 gr

ŚLADAMI OJCÓW NASZYCH

CHOCIAŻ Muzeum Wojska Polskiego w Białymstoku dopiero się tworzy, ale już obecnie prowadzi bardzo ożywioną działalność: gromadzi militaria dotyczące historii oręża polskiego, inicjuje również wiele akcji, popularyzujących historię wojskową oraz wychowanie patriotyczne młodzieży i dorosłych. Działalność ta prowadzona jest przy współpracy wielu organizacji społecznych i placówek kulturalno-oświatowych.

Jedna z takich akcji podjęta została z Komendą Chorągwi Białostockiej ZHP, pod kryptonimem **„Śladami ojców naszych"**. Głównym jej zadaniem było zbieranie przez zuchów, harcerzy i instruktorów ZHP militariów, z przeznaczeniem ich do zbiorów Muzeum WP w Białymstoku. W ostatnich dniach odbyło się uroczyste podsumowanie tego przedsięwzięcia. Zebrane dary harcerze przekazali przedstawicielom Muzeum. Plon harcerskiej akcji był interesujący, zebrali oni bowiem wiele ciekawych eksponatów.

Uczestnicy harcerskiej akcji „Śladami ojców naszych" przy zebranych przez siebie militariach.

Foto: CAF

Tajemnica miasta Inków

WŚRÓD indiańskich plemion, zamieszkujących zbocza wschodnich Andów na terytorium Republiki Peru, od dawna krążyła legenda o istnieniu w górach wspaniałego miasta, nazywanego Maczu-Pikczu.

Wieści te były dla uczonych zgoła fantastyczne, aż w 1911 roku ekspedycja amerykańska Hirama Binghama, badając w poszukiwaniu zabytków brzegi rzeki Urabamba, natrafiła na ruiny wymarłego miasta położonego 3 tysiące metrów nad poziomem morza, na rozległych tarasach. Na jego placach zegary słoneczne wskazywały czas, w opustoszałych ogrodach kwitły zdziczałe kwiaty.

Oto legendarne miasto Maczu-Pikczu, czyli Stara Góra; budować je pomagały ludziom ptaki — tak informowali ekspedycję okoliczni Indianie.

C.d. na str. 2

Rys. M. Kościelniak

ESTOŃSKI POLIGLOTA

● *Niezwykłym zjawiskiem lingwinistycznym jest znany naukowiec estoński prof. Nurmekund, który włada biegle... pięćdziesięcioma językami! Prawdziwy podziw budzi doskonałe opanowanie języków: karelskiego, lapońskiego, chińskiego starożytnego i nowożytnego, różnych dialektów afrykańskich, hindi, japońskiego, arabskiego klasycznego oraz dialektów, serbskiego, fińskiego, węgierskiego, tureckiego i wielu innych.*

Tajemnica miasta Inków

C.d. ze str. 1

W następnych latach kilka innych ekspedycji dotarło do tych okolic. Powstały różne hipotezy — kto i kiedy wybudował miasto, kim byli jego mieszkańcy, co stało się przyczyną jego upadku. Zgadzano się pod jednym względem: władcy Inków zbudowali cały system obronny warowni chroniących państwo przed najazdami sąsiadów, zapewne więc warownią taką było również miasto Maczu-Pikczu. Dowodzą tego m.in. leżące u podnóża Starej Góry monolity skalne ze śladami obróbki. Budowniczowie zamierzali widocznie w dalszym ciągu fortyfikować miasto.

Zdaniem archeologów — ludność Maczu-Pikczu składała się z około 8 tysięcy mieszkańców. Ciekawe, czy w dziwacznej opowieści o tym, że wymarłe miasto zostało zbudowane przy pomocy ptaków, mogą się znajdować pewne elementy prawdy? Ostatnio zoologowie odkryli w Andach gatunek ptaków, nazywanych przez Indian hakaklo, co znaczy — ten, co świdruje kamienie.

Ptaki te, jak opowiadają krajowcy, zwykły odłamywać w tropikalnej dżungli gałązki jakiejś nieznanej dotychczas rośliny i przenosić je w dziobach w góry, składając na skałach. Sok tej rośliny może kruszyć kamień do tego stopnia, że w skałach powstają otwory nadające się na ptasie gniazda. Jednocześnie sok zespala odłamki skał.

Rys. M. Kościelniak

Właściwość tę mogli zaobserwować indiańscy architekci miasta Maczu-Pikczu. Uczonych bowiem zdumiewa dzisiaj technika, za pomocą której udawało się budowniczym łączyć płyty kamienne tak szczelnie, że dzieli je tylko parę milimetrów. Wydaje się więc możliwe, iż używano tu przy szlifowaniu płyt właśnie tego tajemniczego soku roślinnego.

Stara Góra, czyli Maczu-Pikczu, nadal badana jest przez archeologów. Prace wykopaliskowe przyniosą zapewne odkrycie niejednej jeszcze tajemnicy wymarłego miasta Inków. **(jk)**

ŁASKAWIE POZWALAJĄ SOBIE POMAGAĆ

CHODZĘ do VIII klasy. Jest to klasa niezgrana i ciesząca się w szkole najgorszą opinią. Wielu uczniów ma bardzo słabe stopnie. Jednocześnie oni właśnie, ci, którym powinno zależeć na nauce, gardzą pomocą koleżeńską.

Pomagałam jednej z koleżanek przez kilka lat i nawet nie podziękowała mi za pomoc. Wyglądało to tak, jakbym ja czyniła jej wręcz „krzywdę"! A mnie samej było dość trudno, gdyż musiałam tłumaczyć jej podstawowe rzeczy.

Czy musimy na siłę pomagać słabszym uczniom, którzy przyjmują pomoc jak z łaski?

Irena S.
woj. warszawskie

Klub Nastolatków: Co o tym sądzicie? Nadsyłając listy zaznaczcie na kopercie: **„Pomoc"**. (rj)

GIGANTYCZNA „MISA"

W CENTRUM KATOWIC powstaje jedna z największych i najpiękniejszych hal widowiskowo-sportowych. Główna widownia będzie posiadała 11,5 tysiąca miejsc, natomiast sztuczne lodowisko — 3 tys. miejsc i sala gimnastyczna — 500 miejsc. Ponadto przewidziano hotel na 90 łóżek oraz wojewódzką przychodnię sportowo-lekarską. Wszystko to pomieści gigantyczna „misa" zaprojektowana przez architektów: mgra inż. Macieja Gintowta, mgra inż. Macieja Krasińskiego oraz konstruktorów: mgra inż. Andrzeja Żórawskiego, inż. Aleksandra Włodarza i dra Wacława Zalewskiego.

Na zdjęciu widzicie ogromną „misę" w trakcie budowy. (b)

Foto: CAF — Seko

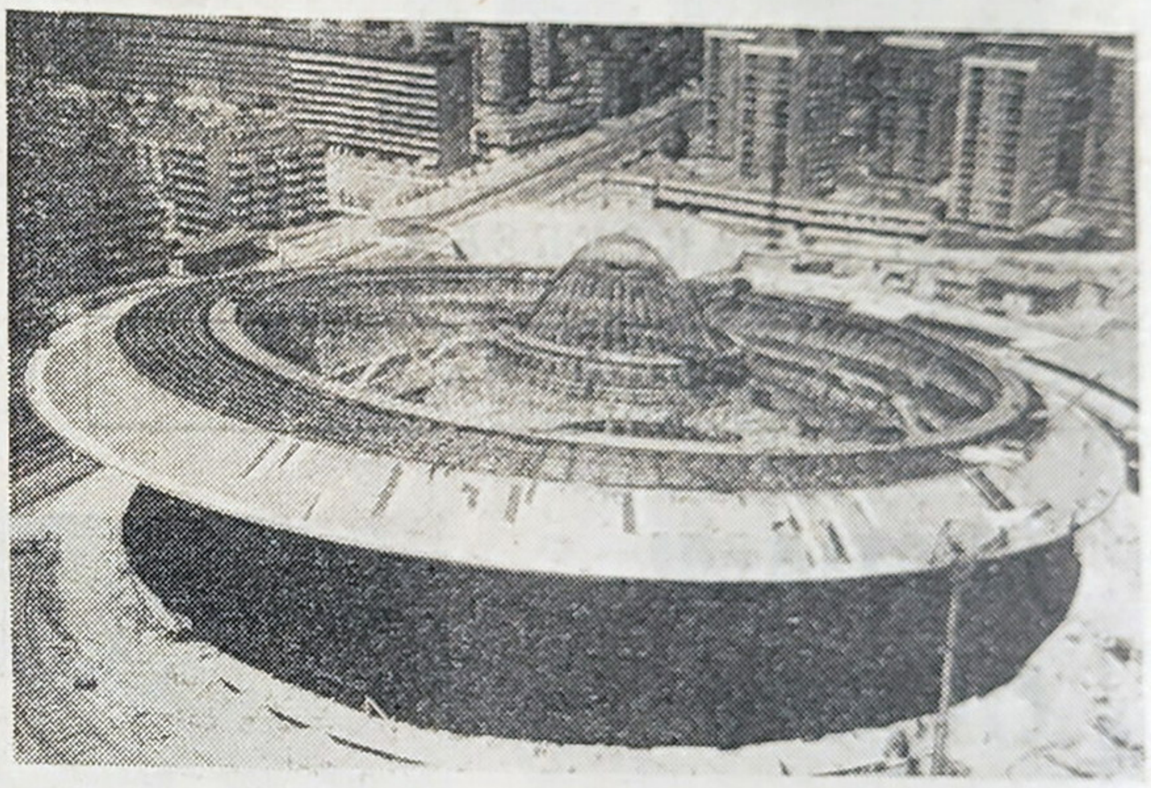

O TYM SIĘ MÓWI

Porwany SAMOLOT

TA HISTORIA wydarzyła się 20 listopada 1969 roku. Tego dnia, o godzinie 11.51, z wrocławskiego lotniska wystartował do Warszawy samolot AN-24, należący do Polskich Linii Lotniczych „Lot". Na pokładzie znajdowało się 18 pasażerów i 3 członków załogi.

W pewnej chwili do kabiny pilotów weszło dwóch pasażerów. Byli to: Romuald Zołotuchno i Wiesław Szymankiewicz. W rękach jednego z nich tkwił pistolet, drugi był uzbrojony w nóż i w ciężką stalową linkę.

Od tej chwili rozpoczęły się pełne napięcia, dramatyczne chwile. Dwaj bandyci grożąc bronią zażądali od pilota zmiany kursu samolotu. Chcieli wylądować w Wiedniu.

W listach pytano nas: dlaczego piloci dali się sterroryzować tym bandytom? Odpowiedź jest tu jednoznaczna. Opór załogi naraziłby na śmierć wszystkich pasażerów AN-24. Bandyci mogli przecież w każdej chwili rozpocząć strzelaninę. Co byłoby wtedy?...

Znakomicie wyszkolona załoga polskiego samolotu pasażerskiego nie straciła zimnej krwi. Prowadziła bezbłędnie samolot pod lufą pistoletu. O godzinie 13.27 — po locie pełnym dramatycznego napięcia — AN-24 wylądował szczęśliwie w Wiedniu. Nikomu nic się nie stało. Dwaj bandyci zostali aresztowani przez władze austriackie.

Polskie władze wystąpiły do rządu Austrii o wydanie obu przestępców.

Dziś zamieszczamy relację jednego z pasażerów porwanego samolotu — magistra Jerzego Trybulskiego z Wrocławia.

CI DWAJ pierwsi wsiedli do samolotu. Mieli przy sobie tylko skromne torby podróżne. Usadowili się w przodzie, tuż za kabiną pilotów. Ja siedziałem na przedostatnim miejscu, po prawej stronie. Koło mnie nie było nikogo.

Wystartowaliśmy punktualnie. Pogoda była ładna, słoneczna. Jedni pasażerowie od razu zabrali się do lektury gazet, inni wyciągnęli się wygodnie w fotelach, niektórzy pragnęli uciąć sobie nawet krótką drzemkę.

Czytałem książkę, lecz w pewnej chwili kątem oka dostrzegłem, że dwóch ludzi udało się do kabiny pilotów. Nie zdziwiłem się specjalnie. Myślałem, że to znajomi kapitana.

Tymczasem stewardessa, która siedziała za moimi plecami, poderwała się ze swojego miejsca i też weszła do kabiny. Po chwili wróciła. Zauważyłem, że była zupełnie blada.

— Co się pani stało? — zapytałem, gdy przechodziła obok mnie.

— Za wszelką cenę proszę zachować spokój — usłyszałem w odpowiedzi.

Nagle samolot gwałtownie skręcił w prawo. Potem nieco zniżył lot. Wyjrzałem przez okienko i oto niespodziewanie zobaczyłem przed samolotem góry. Inni pasażerowie też to stwierdzili i wtedy właśnie pomyślałem, że być może ci dwaj sterroryzowali załogę i zażądali zmiany kursu.

Po jakimś czasie ktoś zawołał:

— Bratysława!

Tymczasem po kilkunastu minutach lotu, znowu nadlecieliśmy nad jakieś duże miasto. Był to Wiedeń. Równocześnie samolot zaczął zniżać lot. Podchodził do lądowania. Wiedziałem już teraz, że nasz samolot został porwany.

Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku, natychmiast do wejścia dla pilotów wkroczyło kilku policjantów. Po chwili zobaczyłem tych dwóch — byli już w kajdankach. Przy okazji stwierdziliśmy, że mieli przy sobie wyposażenie kwalifikowanych bandytów. Odebrano im noże, finki i nahajki z kabli.

KIEROWCA — PRZYJACIELEM DZIECI

NA DWORZE sypie śnieg. Zima. Dla uczniów wędrujących do szkół nadeszła najgorsza pora roku. Tylko ten, kto chodzi do szkoły po kilka kilometrów dziennie, potrafi powiedzieć, jak trudno brnąć przez zaspy i śniegi.

Już 1 listopada Komenda Hufca ZHP w Sandomierzu wraz z Inspektoratem Ruchu Drogowego i Wydziałem Oświaty ogłosiła wielką akcję: „KIEROWCO, POMÓŻ DZIECKU"!

Kierowcy będą nieodpłatnie zabierać do samochodów dzieci idące ze szkoły do domu i z domu do szkoły.

Wszystkie dzieci noszą ze sobą karteczkę z napisem — „DZIECKO DZIĘKUJE PANU KIEROWCY". Karteczki pos'emplowane przez kierownictwo szkoły, zebrane przez kierowców dostarczone zostaną przez nich do Wydziału Komunikacji w Sandomierzu.

Zakończenie akcji nastąpi w kwietniu 1970 roku.

Harcerze wierzą, że znajdą w kierowcach serdecznych przyjaciół. Już teraz dziękujemy wszystkim, którzy ułatwią nam daleką wędrówkę do szkół. (rj).

Danuta Chyła
Sandomierz

ATRAKCJA DLA TURYSTÓW

NOWY KRAJ NA SZTUCZNEJ WYSPIE

PAN ROY BATES postanowił złowić dużą rybę. Wsiadł więc do łodzi i wypłynął na pełne morze. Nagle zerwała się wichura. Wzburzone fale rzucały łodzią jak przysłowiową łupinką. Człowiek dzielnie walczył z przeciwnościami losu, w końcu jednak zaczął tracić siły. I wtedy właśnie — w tym krytycznym dla siebie momencie — Bates ujrzał wznoszącą się ponad rozszalałe fale — dziwną konstrukcję. Była to — umieszczona na dwóch betonowych filarach — stalowa platforma. Ażeby uratować życie — należało do niej koniecznie podpłynąć... I tak też się stało. Roy Bates wspiął się na stalową platformę i przetrwał burzę...

Od tamtego wydarzenia minęło kilka miesięcy. Pan Bates upodobał sobie opuszczoną platformę, która zbudowana została podczas ostatniej wojny. Wtedy mieściły się na niej urządzenia radarowe, które wykrywały nadlatujące nad Londyn samoloty hitlerowskiej „Luftwaffe". Doszło nawet do tego, że Roy Bates objął platformę w swoje wyłączne posiadanie i zamieszkał na niej, wraz z całą swoją czteroosobową rodziną. Żadna siła nie jest w stanie zmusić Batesa do opuszczenia platformy.

Niedawno, przedsiębiorczy Anglik ogłosił światu, iż jego samotna sztuczna wyspa — której powierzchnia wynosi równe 500 m², proklamowana zostaje samodzielnym państwem o nazwie Sealandia. Pan Bates wydał z tej okazji serię znaczków „swojego kraju", wystąpił nawet do ONZ o przyjęcie Sealandii w poczet członków tej największej, międzynarodowej organizacji.

Tu leży właśnie „nowy kraj" — Sealandia, którego powierzchnia wynosi 500 m². Pan Bates twierdzi, że jego platforma jest najmniejszym państwem na świecie.

Do sztucznej platformy dopływają często statki. Zaopatrują one jej mieszkańców w żywność.

Sealandia posiada też własne prawa, flagę i... jedno działo, które pozostało na platformie z czasów ostatniej wojny. Warto jeszcze dodać, iż sztuczna wyspa leży 12 mil morskich od brzegów Anglii. Dopłynąć do niej można łodzią albo okrętem. Na platformie mogą też lądować śmigłowce. W przyszłości pan Bates pragnie wybudować na... swojej wyspie, nowoczesny hotel dla turystów.

Jaki będzie dalszy los sztucznej wyspy?... Jeszcze nie wiadomo. Na razie rodzina pana Batesa czuje się na wyspie dobrze. Stoczono tylko... jedną wojnę z tzw. piratami radiowymi, którzy pragnęli na opuszczonej platformie zainstalować radiostację, która nadawałaby na całą Anglię audycje reklamowe i muzykę. Wojnę tę wygrał pan Bates!

Oprac. Z.P.

Nagle usłyszeliśmy głos kapitana: „Prosimy o pozostanie na miejscu". Jednak policjant, który wsiadł do nas, zdecydowanym głosem nakazał wszystkim wyjść. Co robić?... Wątpliwości rozstrzygnął przedstawiciel LOT-u w Wiedniu. Poprosił nas, abyśmy możliwie szybko opuścili samolot. Dopiero później zorientowaliśmy się, że ten bezceremonialny ton policjanta był podyktowany niepokojem o nasz los. Wiedziano bowiem, że bandyci pozostawili w bagażowni jakieś materiały wybuchowe. Obawiano się, że w każdej sekundzie może nastąpić katastrofa.

Zaopiekowali się nami serdecznie pracownicy ambasady polskiej i przedstawiciel LOT-u w Wiedniu. Poinformowali oni zaraz naszych bliskich w kraju o wypadku.

Tymczasem mijały godziny. Czekaliśmy na inny samolot, który miał nas zabrać do Warszawy. Załoga, z którą odbyliśmy przymusowy lot, była zbyt wyczerpana, aby od razu zasiąść za sterami i polecieć w kurs powrotny.

Wreszcie jednak znowu lecieliśmy. Załogę samolotu stanowili: kpt. Edward Makula (ten sam, który jest mistrzem świata w szybownictwie), Edward Kierzkowski (drugi pilot) i Karol Kłosiewicz (mechanik pokładowy). Z nami leciała też dzielna załoga porwanego samolotu: kpt. Józef Cierniak, i Ján Hussakowski (drugi pilot) i oczywiście stewardessa, pani Elżbieta Żurowska.

Relację pana Jerzego Trybulskiego zanotował:

JANUSZ GOŁUCH

P.S. Potem dowiedzieliśmy się od załogi, że bandyci najpierw sterroryzowali stewardessę. Dziewczyna zobaczyła ich w momencie, gdy obaj zajęci byli montowaniem jakiejś paczki. Powiedzieli wtedy: To są materiały wybuchowe. Możemy cały samolot wysadzić w powietrze, jeśli piloci nie wykonają naszego rozkazu.

Kiedy stewardessa, pani Elżbieta Żurowska, usiłowała mimo gróźb dotrzeć do pomieszczenia pilotów — ci dwaj wykręcili jej rękę i wepchnęli z powrotem do kabiny pasażerskiej. Zaraz po tym incydencie bandyci wtargnęli do kabiny pilotów.

Opinia publiczna w Polsce jednomyślnie potępiła porwanie samolotu AN-24. Ten akt był zbrodnią. Ci dwaj, którzy wyciągnęli do pilotów pistolet — to prawdziwi bandyci. To oni przecież narazili na wielkie niebezpieczeństwo wszystkich pasażerów, spokojnych obywateli, udających się w ważnych sprawach do do Warszawy.

Podziwiać należy naszą załogę, która zachowała zimną krew. Ten fakt podkreślamy szczególnie. Podziwiać też należy godną postawę wszystkich pasażerów.

Władze LOT-u podjęły środki, które zabezpieczą załogi naszych samolotów przed podobnymi wypadkami.

Bandyci muszą ponieść karę!

Rys. M. Teodorczyk

Serdeczny PRZYJACIEL LUDZI

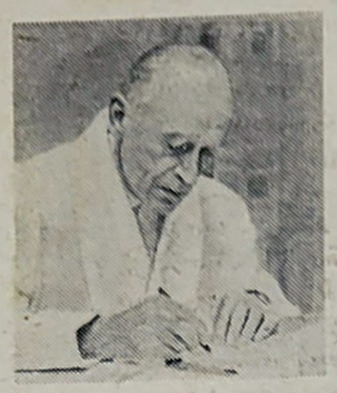

PROFESOR DR WIKTOR DEGA — ŚWIATOWEJ SŁAWY UCZONY, ZNAKOMITY ORTOPEDA, WSPANIAŁY CHIRURG, KRAJOWY SPECJALISTA DO SPRAW REHABILITACJI PAN, AUTOR WIELU PRAC, DZIAŁACZ NIEZLICZONYCH TOWARZYSTW NAUKOWYCH W KRAJU I ZA GRANICĄ, POSIADA ORDER BUDOWNICZEGO POLSKI LUDOWEJ I KILKANAŚCIE INNYCH ODZNACZEŃ I NAGRÓD, WŚRÓD NICH PAŃSTWOWĄ NAGRODĘ NAUKOWĄ I STOPNIA ZA OPRACOWANIE METODY OPERACYJNEGO LECZENIA WRODZONEGO ZWICHNIĘCIA STAWU BIODROWEGO ORAZ NAGRODĘ IM. ALBERTA LASKERA — NAJWYŻSZE MIĘDZYNARODOWE ODZNACZENIE W DZIEDZINIE REHABILITACJI INWALIDÓW. DZIECI POLSKIE OBDAROWAŁY GO ORDEREM USMIECHU.

NAZYWAJĄ SIEBIE „ortopedyczną rodziną". Istotnie, chory znajduje u nich rozumną opiekę i prawdziwie rodzinne uczucia serdeczności.

Pogodna, życzliwa atmosfera otacza nas tuż za progiem — znajdujemy się w Klinice Rehabilitacji Akademii Medycznej w Poznaniu. Naszym przewodnikiem jest jedna z uczennic profesora, zastępca kierownika Kliniki, pani doc. dr Krystyna Milanowska.

— Na czym polega polska koncepcja rehabilitacji? — zadajemy pani docent podstawowe pytanie laika.

— Pan Profesor pierwszy na świecie uznał, że w ortopedii nie wystarczy doskonalić metod operacyjnych, że trzeba zastosować cały zespół zabiegów, który w konsekwencji przystosuje chorego do życia w społeczeństwie, przyuczy odpowiedniego zawodu, pozbawi poczucia upośledzenia nieprzydatności — wyjaśnia nam pani docent cierpliwie, choć raz po raz odwołują ją do różnych zajęć. — Stosujemy więc leczenie rehabilitacyjne, a więc przywracanie sprawności fizycznej poprzez zabiegi medyczne, masaże, naświetlania, gorsety itp, przez gimnastykę leczniczą, różnego rodzaju zajęcia, wyrabiające określoną sprawność mięśni, jak i szkolenie zawodowe.

Oprócz lekarzy na terenie naszej Kliniki pracują więc absolwenci Akademii Wychowania Fizycznego ze specjalnością gimnastyki leczniczej, psycholodzy, nauczyciele, plastycy, pracownicy socjalni, którzy załatwiają chorym renty, mieszkania, wózki inwalidzkie, pracę — słowem urządzają ich już w normalnym życiu społecznym. Na terenie Kliniki mamy nie tylko warsztaty różnego rodzaju, ale także normalną szkołę podstawową dla dzieci, przedszkole i własne warsztaty ortopedyczne. Chory opuszczając naszą Klinikę z miejsca może się włączyć do życia ludzi zdrowych, licząc zresztą stale na naszą pomoc. Tymczasem za granicą, nawet w krajach bardziej cywilizowanych i bogatszych od Polski, człowiek kaleki zdany jest sam na siebie, jego trudnościami i warunkami życia, wynikającymi z choroby, nie zajmuje się nikt. Nas polskich lekarzy interesuje nie tylko przypadek choroby, ale cały człowiek i jego przyszłe miejsce w życiu.

Piotruś w marcu skończy dopiero 3 lata, mało więc miał okazji do chodzenia. Spacer z „Ilką" sprawia mu wyjątkową radość. Może już wkrótce zrzuci usztywniające protezy i pójdzie sam....

Jak się urodził, tak będzie chodził.

PROFESOR jest Pierwszym Kawalerem Orderu Uśmiechu — jedynego odznaczenia w Polsce przyznawanego dorosłym przez dzieci. Czymże więc przysłużył się właśnie dzieciom? — pytamy panią docent.

— Trudno wytłumaczyć dlaczego, ale tak się dzieje w życiu, że na 10 tysięcy niemowląt około 200 rodzi się z tzw. niedorozwojem stawu biodrowego. Dawniej nie umiano tej choroby ani rozpoznać, ani leczyć. Dzieci kulały, a czasem przestawały chodzić. Uznawano to za dopust losu, mawiano: **„Jak się urodził, tak będzie chodził".** Profesor opracował własną metodę operacyjnego leczenia wrodzonego zwichnięcia stawu biodrowego, a co ważniejsze — opracował metody wczesnego rozpoznawania i zapobiegania temu schorzeniu bez operacji.

— A jak można temu zapobiec?

— Niemowlę, dzięki wskazówkom lekarza, przez odpowiednie zakładanie pieluszek i inne zabiegi już sama matka może z tego schorzenia wyleczyć. Gdy się choroby dostatecznie wcześnie nie wykryje, konieczna staje się operacja.

— A po operacji?

— Dziecko zaczyna chodzić normalnie, a mieliśmy w Klinice wypadek, że dziewczynka wstąpiła nawet do szkoły baletowej.

Idziemy długim korytarzem, mijamy sale z łóżkami, warsztaty tkackie, sale zajęć plastycznych. Dzieci pracują, powracają z zabiegów, są pogodne, uśmiechnięte, dumne ze swoich wyników, pełne nadziei, że będą zdrowe.

Korytarzem naprzeciw nas kroczy mały chłopczyk podtrzymywany przez swoją opiekunkę. Oboje są uradowani. Szepczą do siebie pieszczotliwie:

— Kto cię prowadzi, „Kruszynwo", kto? — pyta opiekunka, chcąc usłyszeć własne imię.

— Ilka, Ilka — powtarza malec.

— To jest nasz Piotruś — wyjaśnia pani docent. — Przywieziono go do nas z porażeniem wszystkich mięśni. Nie mógł mówić, nie poruszał rączkami ani główką, miał porażone mięśnie brzucha, trudności w oddychaniu. Rok systematycznego leczenia i widać coraz większą poprawę.

„Ilka" to pieszczotliwe imię Ireny Liszkowskiej, magister wychowania fizycznego. Pani magister pracuje już z chorymi od 15 lat, ma ogromne doświadczenie i Piotruś wiele jej zawdzięcza.

Pani docent przedstawia nam także phm dh Halinę Andersohn, szczepową drużyn Nieprzetartego Szlaku w Klinice. Harcerskie drużyny zuchowe i młodszoharcerskie będą w grudniu obchodziły pięciolecie swego istnienia. Phm dh Andersohn pracuje w Klinice w Laboratorium Analitycznym i praktycznie ze szpitala nie wychodzi. Każde bowiem z dzieci chce uczestniczyć w zbiórkach i nosić harcerską chustę.

*

Naszą wizytę kończymy w gabinecie Profesora, w Klinice Ortopedycznej. Profesor formalnie jest już na emeryturze. Swoje dzieło złożył w pewne ręce swoich wiernych, zdolnych uczniów: prof. Sengera, doc. dr Tomaszewskiej, doc. dr Milanowskiej i wielu innych, których nie mieliśmy okazji poznać osobiście. Familijne fotografie, które wiszą w gabinecie Profesora, ujawniają, że „ortopedyczna rodzina" jest bardzo liczna.

Profesor mieszka przy szpitalu i jak dawniej spędza tu większość dnia. Operuje, doradza, bada. I nieustannie wyjeżdża. W październiku powrócił z Meksyku. Odbywał się tam Światowy Zjazd Międzynarodowego Towarzystwa Ortopedycznego. Za parę godzin ma pociąg do Warszawy. Jutro jest posiedzenie Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Czas tego człowieka jest bardzo cenny i całkowicie należy do chorych. Do licznych odznaczeń Profesora dodajemy więc jeszcze i nasz redakcyjny znaczek z napisem: „Lubię Świat Młodych". Życzymy Profesorowi w waszym imieniu dużo, dużo zdrowia i wychodzimy pełni optymizmu, że są na świecie tacy serdeczni przyjaciele ludzi.

B. TYLICKA
Foto: K. Adamowski

Kartka z najdawniejszej historii

Hagia Sofia

CIEŚNINA BOSFOR urzeka pięknem. Na jej obu górzystych, stromych brzegach wznoszą się ruiny średniowiecznych twierdz. Liczne domy i pałace odbijają się bielą w błękitnym morzu. W dali, na wysuniętym w morze cyplu, piętrzą się gmachy, a z nich strzelają w niebo kopuły meczetów i niezliczone wieżyczki minaretów. Nad nimi góruje masyw ogromnej świątyni — to Hagia-Sofia. Jesteśmy w Istambule.

Miasto założyli koloniści greccy z wyspy Salaminy w VII wieku przed naszą erą i nazwali je Bizantion. Nadzwyczaj korzystne jego położenie nad Bosforem, cieśniną łączącą Morze Czarne ze Śródziemnym sprzyjało szybkiemu rozwojowi. Rzemiosło, handel i żegluga wzbogaciły miasto. Zajęli je przejściowo Persowie, potem Rzymianie. W roku 330 naszej ery cesarz Konstantyn Wielki przenosi stolicę z Rzymu do Bizantion i od tej chwili gród nazywa sie miastem Konstantyna — Konstantynopolem.

Cesarstwo bizantyjskie trwało przeszło tysiąc lat wywierając wielkie wpływy polityczne, kulturalne i religijne na Europę i Azję. W średniowieczu nazywano Konstantynopol Carogrodem, a kiedy w 1453 roku Turcy zdobyli miasto, nazwali je Istambułem.

Kościół świętej Zofii w Konstantynopolu jest jednym z największych arcydzieł sztuki bizantyjskiej i jednym z najsławniejszych pomników architektury późno-rzymskiej.

Konstantyn Wielki zbudował tu kościół pod wezwaniem mądrości bożej (Sofia), ale po latach pożar zniszczył świątynię. W roku 532 cesarz Justynian postanowił odbudować gmach, bo jego ambicją było, aby „dzieło przewyższało wszystkie inne najsławniejsze budowle cesarstwa". Miał powstać kościół, „jakiego nie widziano od początku świata". Ambitny cesarz wyłożył ogromne sumy, złoto i srebro, kazał sprowadzić dziesiątki gatunków marmurów i drogocennego drzewa. I w wyborze architektów szczęście mu sprzyjało: budowniczymi świątyni zostali sławni: Antemios z Trelles i Izydor z Miletu. W pięć lat później, czyli w roku 537, dzieło było gotowe.

Kościół ten jest jednym z najpotężniejszych tworów w architekturze światowej, jak słusznie o nim pisano. Gmach z zewnątrz nie robi tak silnego wrażenia, lecz wnętrze olśniewa potęgą i wspaniałością. Rozległy prostokąt o rozmiarach 77×71 m tworzy nawę środkową opartą na czterech olbrzymich kolumnach. Nad nią, na wysokości 55 metrów, wznosi się kopuła, „która zda się zwisać z nieba" — tak jest lekka i wspaniała. Wewnątrz, między piętrowymi krużgankami i półkolistymi niszami, widnieją przepyszne złote mozaiki, komponowane na błękitnym tle. Różnobarwne marmury tak są dobrane, że tworzą całość niezwykle zharmonizowaną. Za czasów cesarskich istniał w świątyni

„Gdybym miała żyć 1000 lat — też nie byłabym w stanie należycie podziękować za wszystko, coście dla mnie zrobili. Pan osobiście, Panie Profesorze, Pani Profesorowa (dr Maria Dežyna) i wszyscy w Waszej Klinice Ortopedycznej".

Z listu pacjentki ze Szwecji)

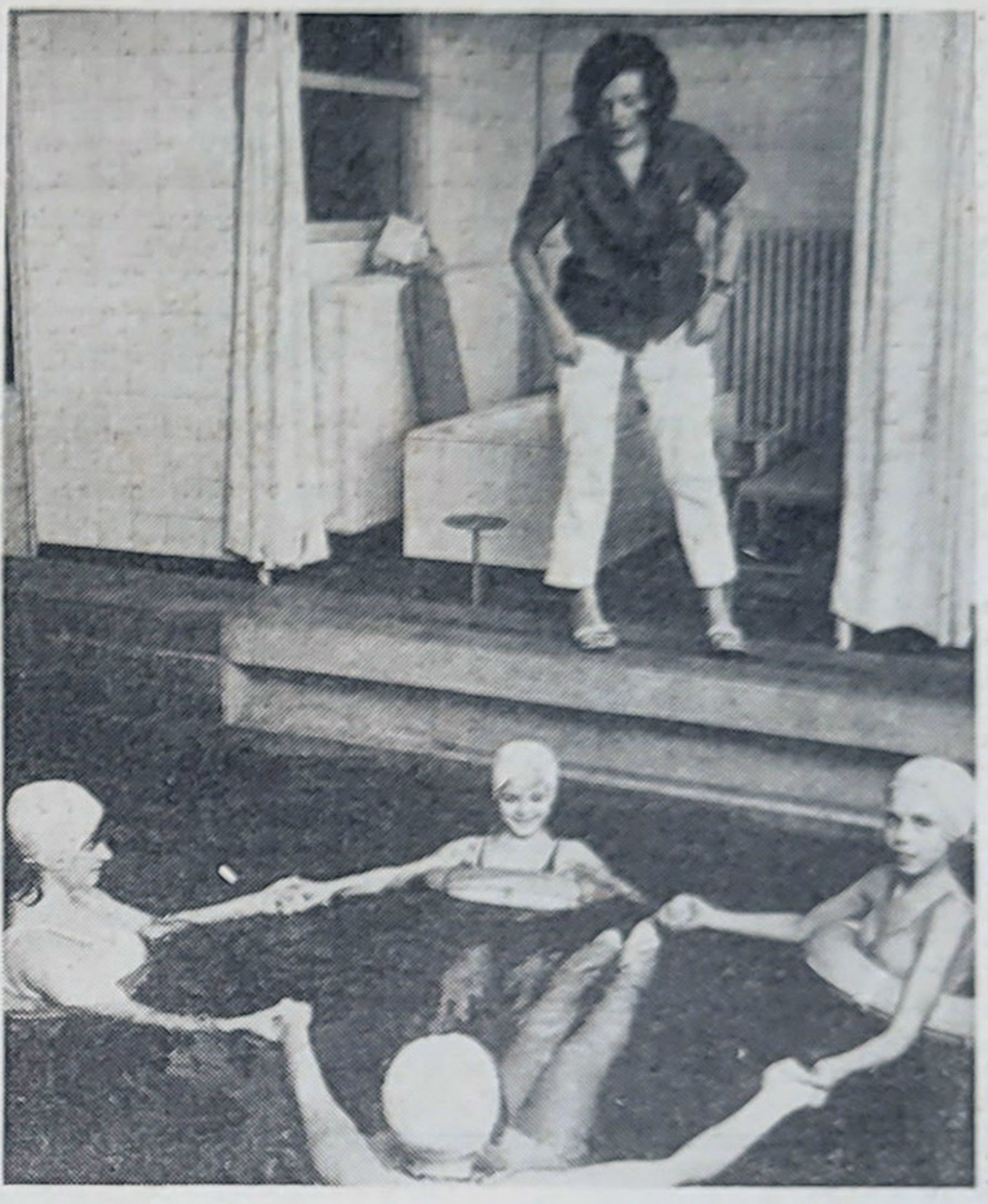

Gimnastyka w basenie pod kierunkiem pani magister jest nie tylko przyjemnością. W wodzie łatwiej jest przyzwyczajać się do chodzenia.

MIASTA NA SZTUCZNYCH WYSPACH

● Oceanografowie przewidują, że po najbliższych 20 latach ludzkość dorobi się pierwszych sztucznych wysp na morzu lub oceanie przeznaczonym na cele mieszkalno-usługowe. Są już nawet projekty takich wysp, w których przewidziano budynki mieszkalne, hotele, lotniska i inne obiekty użyteczności publicznej. Przy okazji warto nadmienić: najnowsze prognozy statystyczne ONZ podają, że za 16 lat (w roku 1985) liczba ludności na świecie wzrośnie z obecnych 3,5 miliardów do 5 miliardów osób.

PODWODNY DOM MIESZKALNY

● Na dnie Zatoki Suchumskiej przeszedł pomyślnie wielodniowe próby podwodny dom mieszkalny „Sadko-3".

„Sadko-3" przystosowany jest wprawdzie do trzy razy większej głębokości, ale nie bicie rekordów było celem eksperymentu. Głównym celem było wypróbowanie aparatury zapewniającej odpowiednie warunki załodze domku i urządzeń kontrolnych dostarczających informacji o jej stanie zdrowia.

Innym zadaniem była rejestracja głosów wydawanych przez ryby, co pozwoli inżynierom na skonstruowanie odpowiednich urządzeń do poszukiwania ławic ryb.

Podwodny dom składa się z trzech pięter. Pierwsze — przejściowe — jest zalane wodą, a drugie i trzecie — w formie kulistej — mieszczą aparaturę i służą za mieszkanie.

Ostrosz w Bałtyku!

● Co jakiś czas w sieci rybaków łowiących na Bałtyku dostają się ryby, których ojczyzną są odległe o tysiące mil morza i oceany. Niedawno rybacy Spółdzielni Rybackiej „Belona" z Dziwnowa złowili OSTROSZA. Ryba ta, już dziś bardzo rzadko spotykana, żyła kiedyś gromadnie w akwenach Morza Śródziemnego i wybrzeży Afryki zachodniej. Jej pojawienie się w Bałtyku jest prawdziwą zagadką dla ichtiologów.

szczerozłoty ołtarz dziesięciometrowej wysokości.

O Wielkim Kościele mówiono zawsze, iż jest cudem stateczności, odwagi i wiedzy.

Kiedy w roku 1453 po dwumiesięcznym oblężeniu padł Konstantynopol — skończyła się przeszło tysiącletnia historia cesarstwa wschodnio-rzymskiego. Skończyła się też rola chrześcijaństwa na Wschodzie. Wielki Kościół nazwali Turcy Hagia Sofia i od tej chwili do dziś pełni on rolę meczetu. Wspaniałe mozaiki zamalowano, a na ich miejscu umieszczono tarcze z wersetami z Koranu. Na zewnątrz dobudowano cztery wysmukłe wieże-minarety. W tym stanie wspaniała świątynia przetrwała do dziś. Ostatnio rząd turecki zlecił Anglikom usunięcie tynku z obrazów i złociste mozaiki na nowo czarują swoim pięknem.

Wielki Kościół zwiedzałem już kilkakrotnie. Za każdym razem, kiedy przekraczam progi świątyni doznaję dziwnego wzruszenia: jej potęga olśniewa i onieśmiela. Jakże mały jest w niej człowiek — ale jakże potężny jego geniusz twórczy.

Tekst i rysunek
MIECZYSŁAW KOŚCIELNIAK

ANATOLIJ ALEKSIN

BARDZO STRASZNA HISTORIA

Opowieść kryminalna, którą napisał Alik Dotkin

7.

„POJEDZIEMY do starej willi! Będziemy chodzić po pokojach opisanych w książce... Zobaczę biurko, przy którym pracował G. Borodajew. To bardzo interesujące, jesteśmy przecież niejako kolegami!" — snułem radosne myśli nie podejrzewając, że straszna historia jest już bardzo blisko niemal tuż-tuż...

„Kącika Borodajewa" nie było już w naszej klasie. Na stelażu, przytaszczonym niegdyś przez Dativusa, urządziliśmy wystawę poświęconą Puszkinowi.

Gleb przyniósł mi z domu powieść G. Borodajewa. Przeczytałem ją po raz drugi. A nawet pół stronicy nauczyłem się na pamięć:

„Nikt nie znał jego imienia ani tym bardziej nazwiska. Wszyscy nazywali go po prostu Letnikiem. Przezwisko to pasowało jak ulał do jego trybu życia owej zimy: wynajął w starej willi narożny pokój na pierwszym piętrze, którego nigdy nie opuszczał. Jedyne okno w tym pokoju wychodziło na ogród.

A przyroda tymczasem żyła swoistym, ale pięknym życiem. Z początku wyraźnie umizgała się do Letnika, kokietowała go oślepiającym promieniem słońca, wpadała do jego pokoju lodowatym podmuchem, pukała w szybę nagimi gałęziami... Nikt nie wiedział, co on jada i co pije. Przed pójściem spać przechadzał się około kwadransa, nigdy dłużej... Ostatni spacer w swoim życiu odbył w wigilię Nowego Roku. Sąsiedzi słyszeli, jak wychodził po skrzypliwie stękających schodach do swego pokoju. A rano już go nie było... Drzwi prowadzące na schody były zamknięte od wewnątrz. Okno od strony ogrodu również zamknięte. Na śniegu żadnych śladów. Letnik zniknął."

Tak zaczynała się powieść. Potem, jak już wspominałem, na trzystu dwudziestu trzech i pół stronicach szukali Letnika milicjanci, psy oraz krewni, których — okazało się — miał okropnie dużo.

— Dziadek chciał dalej... Dalszy ciąg... Ale... Rozumiesz? — wyjaśnił mi Gleb.

I oto mieliśmy pojechać na miejsce zagadkowego wypadku! Tak, okazuje się, że wszystko, o czym mówiła powieść nie było fikcją, lecz zdarzyło się w rzeczywistości. Wyznał mi to owego niedzielnego ranka wnuk pisarza. Ukrywał dotychczas tę prawdę, sądząc, że będziemy się bali jechać na miejsce zbrodni.

— Że ty nie... wiedziałem... Jesteś Detektywem. Ale inni — mówił Gleb.

— Ani słowa innym! — zastrzegłem.

Następnie Gleb oznajmił mi drugą nowinę, która podziałała na mnie jak grom z jasnego nieba — Ninel Fiodorowna zachorowała.

— No jasne, szok nerwowy — powiedziałem. — Urządzili ją!

— Niee — zaczął mi tłumaczyć Gleb. Ona dostała pokój w nowym domu. Przeprowadzała się... No i masz! Przeziębienie...

Rozmowa ta toczyła się w kancelarii szkolnej, gdzie mieli się spotkać członkowie kółka literackiego.

— Z resztą klasy pojadę za miasto innym razem, wybierzemy się w zimie na narty — obiecała Ninel. — Nie wypada przyjeżdżać do willi taką gromadą, bądź co bądź to nie muzeum. Ludzie tam mieszkają...

Przyszedłem na trzydzieści minut przed umówioną godziną. A Gleb jeszcze wcześniej.

— Dyżurna mi powiedziała... Wczoraj wieczorem... Wstąpiłem... — mówił. — Ninel Fiodorowna jej... Przez telefon...

— To dlatego nie powiedziałeś nam wczoraj? Albo chociaż mnie?

— Bałem się, że tego... Nie pojedziecie... A jak byśmy sami? Bez niej? Co?... Jak myślisz? Można by dalej prowadzić dochodzenie... Wykryć... Rozumiesz?... Jesteś przecież Detektywem!

Pogrążyłem się w zadumie. Trwało to dość długo. Dopóki nie nadeszła Natasza Kułagina z Dativusem, Nieboszczykiem i Mironową.

Dativus oznajmił już od progu!

— Dziś rano przyszedł mi do głowy taki wierszyk. Może wam to zrobi przyjemność?

Podał Nieboszczykowi kartkę z zeszytu. Dativus nigdy nie deklamował swoich wierszy. Wstydził się. Nieboszczyk głośno i śpiewnie, naśladując prawdziwych poetów, zadeklamował:

Ten dzień nam spełni marzeń tyle!
Dawno chcielibyśmy zwiedzić willę,
Więc mimo pochmurnego nieba,
Jedziemy pod przewodem Gleba!
Choć wicher wieje i deszcz pada,
On wiezie nas do swego dziada!...

Poczciwy Dativus wziął pod uwagę fakt, że już od dawna nikt nie prosił Gleba, by nam opowiadał historię z życia dziadka, czytał jego listy. Od dawna nikt nie oglądał fotografii z rodzinnego archiwum Borodajewów.

Po wysłuchaniu wiersza Gleb od razu przyjął postawę pełną godności, twarz mu się rozjaśniła. Doświadczone oko mogło niemal bezbłędnie odgadnąć, że przypomniały mu się tamte czasy, kiedy interesowała się nim cała szkoła.

Poczciwy Dativus mianował go naszym przewodnikiem i oto Gleb zaczął mówić głośniej i z większą pewnością siebie, niż zwykle.

— Nie wiadomo jeszcze, czy pojedziemy — poinformował wszystkich. — Ninel Fiodorowna zachorowała.

— Na co? — spytała Natasza.

— Przeprowadzała się do nowego mieszkania... No i... Przeziębiła się.

— Może powinniśmy jej w czymś pomóc?

— Gdzie jest ta ulica? Gdzie jest ten dom? — zanucił przeciągle Nieboszczyk.

— Adres? Na pewno nikt go... — zaczął Gleb i z determinacją dodał: — nie zna!

Starał się dopowiadać zdania do końca, no bo jakże — Dativus mianował go naszym przewodnikiem.

— Pojedziemy sami! — oświadczył stanowczo zwracając się do nas wszystkich.

Przez pół godziny, dopóki nie przyszła Natasza Kułagina, dręczyły mnie wątpliwości. Ale jak tylko ją ujrzałem, natychmiast podjąłem stanowczą decyzję: „Musimy jechać! Kiedyż będę mógł spędzić z nią cały dzień? Sam los dosłownie podsuwał mi tę szczęśliwą okazję! I ja śmiałbym ją odrzucić? A nuż w obecności Nataszy naprawdę coś wykryję, rozwikłam coś takiego, czego nie udało się rozwikłać służbie śledczej i krewnym? Przekona się wtedy, że noszę moje przezwisko nie z powodu granatowego worka na kalosze, lecz z przyczyn znacznie istotniejszych. I nareszcie oceni..."

— Nie wiadomo jeszcze, co na to powie Ninel Fiodorowna — odezwała się Mironowa. — Miała ochotę pospacerować razem z nami po lesie. Odetchnąć świeżym powietrzem!

— Tam bardzo nas... Wczoraj wieczorem przez międzymiastową... — powiedział Gleb i z determinacją dokończył: — uprzedziłem ich, że dziś przyjedziemy.

— Ta-ak, jechać, albo nie jechać — oto jest pytanie! — zawołał Dativus.

Równocześnie zadzwonił telefon.

Gleb, który ciągle jeszcze uważał się za naszego przewodnika, podniósł słuchawkę.

— Słucham! Kto? To pani, Ninel Fiodorowno? — jego twarz o delikatnej, aksamitnej cerze okryła się rumieńcem. — Tak... Jesteśmy wszyscy... Właśnie nie wiemy, jechać... — i z determinacją dokończył: — ... czy nie jechać bez pani.

Nagle oczy mu zabłysły szaloną radością. Subtelny zmysł obserwacji podpowiedział mi, że słowa Ninel sprawiają mu przyjemność.

— Acha, rozumiem... Dobrze, pojedziemy. Jeśli pani pozwala... Oddać słuchawkę Alikowi?

C. d. n.

Tłum. I. PIOTROWSKA
Rys. B. RUTKOWSKA

KAŻDY SOBIE COŚ HODUJE

DO UCZNIOW klasy piątej jednej z warszawskich szkół zwróciłam się z pytaniem: **„czy masz w domu jakieś zwierzę?"** Chwilę trwała cisza, a potem nagle podniósł się do góry cały las rąk.

PIOTR: Mój pies ma na imię Ami. Ale nie trzymam go w domu, lecz u wujka na Sadybie, bo tam jest ogród. Ami uratował mu życie: wujek o mało co nie wpadłby pod samochód, ale Ami go wypchnął. Niestety, pies zginął wtedy. Było to rok temu. Wujek zaraz kupił drugiego takiego samego, też ma na imię Ami. To jest Ami Drugi.

BEATA: Ja mam rybki Jest ich prawie dwadzieścia. Bardzo lubię patrzeć, jak pływają. Ostatnio pozdychały mi wszystkie samczyki. W gazecie pisali, że amoniaku dolali do wody. To pewnie od tego.

MAREK: Bardzo chciałem mieć jakieś zwierzę, ale rodzice byli temu przeciwni. Przyniosłem więc mamusi na imieniny małego kotka. Nie mogła protestować, bo to przecież prezent.

MAŁGOSIA: Hoduję świnkę morską. Jest cała brązowa, tylko nosek ma biały. Je wszystko, mniej nawet grymasi niż ja. Nie wiem jednak, jak ją karmić w zimie, żeby dostawała w pożywieniu witaminy.

EWA: Mój brat cioteczny przyniósł mi w prezencie chomika, Kubę. Jest uroczy, ale pourywał frędzle od dywanów, z prześcieradła zrobił sitko i zjadł mój zeszyt do biologii. Mama powiedziała, że nie chce go dłużej trzymać w domu.

TOMEK: Jestem jedynakiem. Mama i tata ciągle pracują, więc zawsze byłem w domu sam. Ale teraz już nie jestem, bo dostałem kota, czarnego. Pyszczek ma biały, a na nosie czarną kropkę. Na imię ma Panda, tak jak czarno-białe niedźwiedzie... Kiedyś był brudny, więc razem z mamą wykąpaliśmy go. Okazało się, że bardzo lubi wodę i od tej pory nie chce spać nigdzie indziej, tylko w zlewie. Gdy odrabiam lekcje, siedzi u mnie na kolanach i patrzy, jak piszę.

TERESA: Ja mam białą myszkę. Dostałam ją od chłopców na podwórku. Była malutka, więc mama nazwała ją Wołodyjowski, ale teraz wszyscy mówiliśmy na nią po prostu Michał.

MARTA: Dostałam niedawno żółwia. Jest mały, mniejszy od mojej dłoni i bardzo ciemny. Lubi jeść żółtko; dajemy mu marchewkę i sałatę, ale on je bardzo malutko. Boję się, czy nie ma za mało powietrza, bo ciągle siedzi pod łóżkiem, a tam jest duszno.

HANIA: Mój pies — to Capuch, pudel królewski. Teraz ma dwa lata. Bardzo lubi jeść słodycze, kwiaty i żaby. Mam dla niego śliczne sznurowane buty i specjalnie przez mamusię uszyty płaszcz w kratkę.

KASIA: A ja mam kanarka. Przyfrunął kiedyś do dziadziusia przez okno i nie chciał wylecieć, więc dziadziuś mi go podarował. Nazwałam go Maciuś. Sam lata na spacery. Czasami nie ma go nawet kilka godzin, ale zawsze wraca.

Mogłabym jeszcze dalej notować, bo Małgosia i Mirek mają również psy: Bogusia i Basia — koty, Igor — kanarka; Zbyszek — chomika... Ci, którzy niczego „żywego" w domu nie posiadają są tym bardzo zmartwieni. „... Rodzice tłumaczą mi, że w naszej „zabytkowej" kamienicy na IV piętrze niemożliwe jest trzymanie psa, ale ja ciągle wierzę, że zdarzy się jakiś cud i u nas też będzie piesek" — powiedziała jedna z dziewczynek.

Oprócz radości zwierzęta wnoszą do domu także trochę kłopotów, z którymi ich opiekunowie nie zawsze mogą sobie poradzić. W imieniu naszych czytelników zadałam więc kilka pytań **panu profesorowi Adolfowi Bernhardtowi**, znanemu w Warszawie miłośnikowi i przyjacielowi zwierząt:

— Czy wszystkie te zwierzęta bez szkody dla ich zdrowia można trzymać w wielkomiejskich mieszkaniach?

— W zasadzie tak. Każde z nich musi mieć jednak swój własny „domek". Dla kota i psa wystarczy legowisko albo poduszka. W klatce dla świnki morskiej podściółka musi być koniecznie z trocin, bo są łatwo wsiąkliwe. Myszki lubią, aby w klatce zbudować im jeszcze oddzielny mały domek i włożyć do niego dużo zwykłego papieru — one sobie go podrą i zbudują gniazdko. Do klatki chomika nie wolno wkładać żadnej ligniny, bo dostaje od tego egzemy, wystarczą na spód trociny a na wierzch trochę suchego sianka.

— Czy żółwia nie trzeba wyprowadzać na spacer?

— Trzeba, ale w lecie, gdy jest ciepło i rośnie wysoka trawa. Zimą żółwie lubią zapadać w sen i nie należy im w tym przeszkadzać. Najlepiej im się śpi w temperaturze do +10° C, a wytrzymują nawet —4°. W mieszkaniach jest więc za ciepło. Musimy im na ten okres wynaleźć jakąś chłodniejszą kryjówkę.

— Czy jest jakieś lekarstwo na „gryzoni-niszczycieli"? Mama Ewy powiedziała, że nie pozwoli dłużej trzymać w domu chomika.

— Trzeba mu dawać do jedzenia bardzo twarde ziarno. To jest gryzoń, rosną mu więc siekacze i chomik broni się przed tym gryząc wszystkie napotkane przedmioty. Jeśli będzie miał dosyć twardego ziarna, nie będzie zabierał się do szkolnych zeszytów.

— A w jaki sposób zmieniać wodę w akwarium? Okazuje się, że woda z kranu rybkom nie służy.

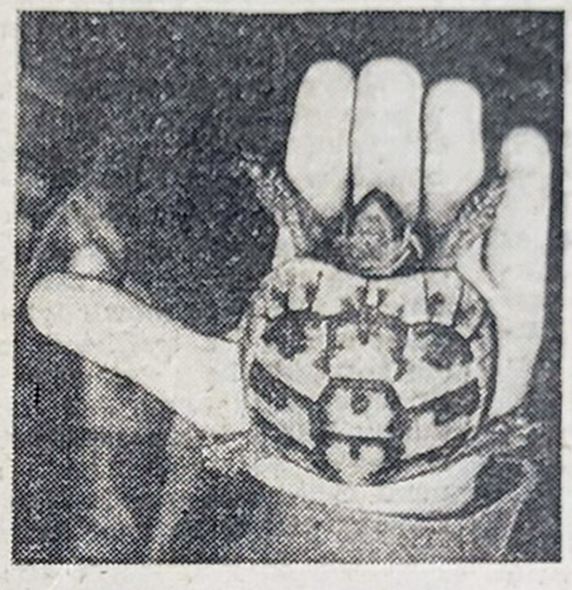

— Nic dziwnego, jest w niej za dużo chloru. Trzeba przygotować mieszankę: połowę wody surowej i połowę przegotowanej. Wtedy wszystko będzie w porządku.

— Co dawać w zimie do jedzenia śwince morskiej, aby miała dostateczną ilość witamin?

— Marchewkę, siano i owies. Dla myszek doskonałe jest ziarno pszenicy i prosa, dla chomika — marchew, twarde ziarna, biały ser, żółtko.

— I to już będzie ostatnie pytanie. Czy psy powinny mieć w zimie ciepłe kubraczki i buciki?

— Lepiej jeśli pies może mieć takie ubranko. W mieszkaniach jest na ogół bardzo ciepło i po wyjściu na mróz następuje zbyt nagła zmiana temperatury.

— Dziękuję bardzo, panie profesorze. Myślę, że nasi czytelnicy dołożą wszystkich starań, aby ich podopieczni czuli się jak najlepiej. I coś mi się wydaje, że w najbliższym czasie zaczną szyć dla psów piękne kolorowe kubraczki, zima zapowiada się bowiem mroźna.

Rozmawiała: EWA KŁOSIEWICZ

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

WIRÓWKA

Dookoła cyfr wpiszcie dwanaście wyrazów. Początek oznaczono krzyżykiem. Kierunek wpisywania każdego wyrazu do odgadnięcia.

Znaczenie wyrazów: 1 — wzmacniają narządy roślin, składnik drewna, inu itp.; 2 — gruby papier rysunkowy; 3 — figura geometryczna, przyrząd gimnastyczny; 4 — komedia Aleksandra Fredry; 5 — rusztowanie, na którym odbywają się egzekucje; 6 — sprytny sposób pokonywania trudności, wybieg, podstęp; 7 — naczynie hermetycznie zamknięte, przechowujące długi czas w niezmienionej temperaturze płyn lub potrawy; 8 — związek, przymierze; 9 — czarne ubranie męskie noszone na przełomie XIX i XX wieku; 10 — zbiorowisko roślinne właściwe arktycznym obszarom Eurazji i Ameryki Płn.; 11 — nić nasycona smołą i nawoskowana, używana przez szewców i rymarzy; 12 — oddział, gromada, kupa zbrojnych ludzi oddających się grabieży.

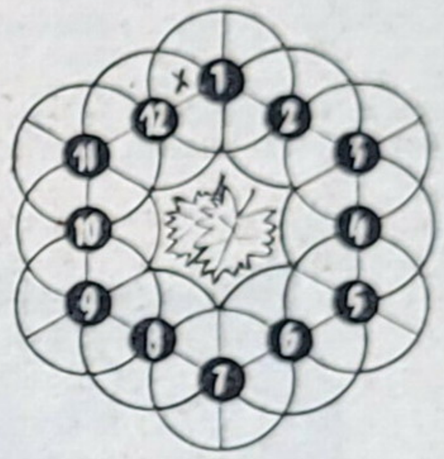

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 38

POZIOMO: Kreta, suseł, Marek, kramarz, senes, Adana, aga, bas, Kongo, Antek, Wrocław, dumka, akord, obrus.

PIONOWO: komis, arkusz, szakal, łezka, rentgen, amarant, pokład, gardło, kawka, klaps, ono, mur.

Bony książkowe po 20 złotych wylosowali: **Jerzy Bolechowski** — Zawiercie; **Marek Bieniecki** — Dąbrówka; **Witold Karczewski** — Szymankowo; **Anna Krzywda** — Stalowa Wola; **Grzegorz Niewiadomski** — Szczytno; **Marianna Mazur** — Tarnowskie Góry; **Krystyna Plebanek** — Włoszczowa; **Leszek Sabak** — Warszawa; **Małgorzata Swolkień** — Zabrze 1; **Krystyna Tymińska** — Chełm Mały.

Rozwiązanie zadania PZU z nr 34

BEZPIECZEŃSTWO NA JEZDNI ZALEŻNE JEST OD TWOJEJ UWAGI I ZDECYDOWANIA.

Nagrody wylosowali:

BUDZIK: Józef Sowa — Borowina; Cecylia Mackiewicz — Wasilków.

SANKI: Stefan Kwiatkowski — Warszawa;

PIŁKI DO SIATKÓWKI: Jerzy Kusz — Bondyrz; Jacek Lubas — Tarnowskie Góry.

BONY KSIĄŻKOWE: Józef Blezień — Barlinek; Ewa Branowska — Warszawa; Jan Dziadek — Zalas 386; Józefa Jurczyk — Krzyżowa 106; Stanisława Kończal — Marianka; Barbara Pawełczyk — Katowice 14; Mirosław Piwowarski — Mały Płock; Henryk Piróg — Dylagowa 184; Bożena Porębska — Jurgów 89; Stanisław Roszkowski — Łupianka Stara.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.

Zam. 5122. P-19

BAZYLI

PEWNEGO jesiennego dnia, a było to na początku mojej żołnierskiej służby, zobaczyłem go na placu ćwiczeń. Szedł powoli, ostrożnie omijając kałuże potężny, ale nie spasiony. Utykał na tylną prawą łapę.

Zawołałem, jak to się woła kota. Ale na moje „kici-kici" nie zareagował. Przyspieszyłem kroku, żeby go dogonić. Ogromnie lubię zwierzęta, a w tym wypadku przyciągało moją uwagę coś niezwykle dostojnego w całej sylwetce kota. Kiedy już byłem całkiem blisko, zatrzymał się.

Schyliłem się by pogłaskać bury łebek. Orzechowe oczy o wąziutkich szparkach źrenic patrzyły czujnie w moją twarz. Cała kocia postawa nie wyrażała ochoty na zbytnie bratanie.

Cofnąłem rękę czując, że to, co miałem zamiar zrobić przed chwilą, mogłoby być nietaktem. A kocie oczy zdawały się potwierdzać tok mego rozumowania.

— Tylko bez poufałości — mówił nastroszony pyszczek. Frędzle na czubkach uszu poruszały się na wietrze jak wachlarze.

— Bazyli, Bazyli!

Kocisko odwróciło się i utykając poszło w kierunku wołającego. W otwartych drzwiach kasyna stał starszy sierżant i on to tym śmiesznym imieniem przywoływał kocura.

Zacząłem wypytywać kolegów ze starszego rocznika. Okazało się, że Bazyli od wielu lat jest na „żołnierskim żołdzie".

Słyszałem jeszcze przedtem, że są w kraju instytucje trzymające koty na „etacie". Koty łowne, mające za zadanie wyłapywanie szczurów i myszy. Ale z Bazylim to była całkiem inna historia.

Zapragnąłem usłyszeć ją w całości od wiarygodnego świadka, a był nim ów starszy sierżant, o którym już wspominałem. Czas mijał wypełniony po brzegi musztrą i innymi zajęciami. O towarzyskich spotkaniach nie było mowy.

Okazja do dłuższej rozmowy nadarzyła się dopiero po żołnierskiej przysiędze. Pewnego dnia przyszedł do naszej świetlicy, gdzie można było przeczytać gazety, wypić kawę czy herbatę i posłuchać radia. Poprosiłem, aby opowiedział mi o Bazylim.

I oto z zawrotną szybkością, nie ruszając się od kawiarnianego stolika cofnąłem się z moim rozmówcą o lat kilkanaście.

★

BYŁ ROK 1953... Może cię zanudzę — zastrzegł starszy sierżant — ale jeśli już chcesz znać historię Bazylego, musisz znać ją od początku. — A więc rok 1953. Niby to już ósmy rok po wojnie, ale dla nas, żołnierzy (odbywałem wówczas służbę w KBW) *), czasy nie należały do najspokojniejszych. W jednym ze wschodnich województw grasowała banda. Nie, to nie była żadna polityczna sprawa. Bandyci rabowali Gminne Spółdzielnie, napadali na bogatszych gospodarzy, kradli i zabijali.

Obławy organizowane przez milicję i wojsko niewiele pomagały. Bandyci wyślizgiwali się sprytnie z potrzasku, by rabować w innych okolicach.

Nasz pluton posuwał się ich tropem przez kilka dni. (Oczywiście w wielkiej obławie uczestniczyły również inne plutony, ale ja będę mówił tylko o nas). Otóż przeczesując las trafiliśmy na dopalające się szczątki chaty gajowego. Bandyci byli tu więc przed nami. Ale teraz ani żywej duszy. Nagle, kiedy staliśmy, czekając na rozkaz dowódcy, dobiegł nas żałosny lament. Ścieżynką warzywnika dreptał mały kociak, wlokąc za sobą przetrąconą łapę.

Z miejsca zrobiliśmy opatrunek, daliśmy konserw i... postanowiliśmy powiększyć stan naszej kompanii o kota. Nazwaliśmy go Bazyli.

Tego dnia nie przeszliśmy już więcej niż pięć kilometrów. Zatrzymaliśmy się w napotkanej puszczańskiej wiosce. Za kwaterę obraliśmy chatę na jej skraju. Gospodarze, niezwykle gościnni ludzie przynieśli nam słomy, odstąpili obie izby, a sami wynieśli się na noc do rodziny we wsi. Zmożeni całodziennym marszem, nie zdejmując mundurów (obowiązywał bowiem stan alarmowy), błyskawicznie zapadliśmy w kamienny sen. Na zewnątrz budynku oczywiście czuwali wartownicy, wyznaczeni przez dowódcę.

W samym środku nocy obudził nas potężny koci wrzask. W pierwszej chwili nie bardzo wiedzieliśmy w ciemności, o co chodzi. A kot darł się wniebogłosy, zrywając nas na równe nogi.

Nagle poczuliśmy dym i zorientowaliśmy się, że coś nie jest w porządku. Zaciemnione okna! A zostawiliśmy przecież otwarte okiennice! Ktoś je zamknął. Skoczyliśmy do drzwi. Drzwi zaparte od zewnątrz!

Brzęk tłuczonego szkła. Zmurszałe okiennice wyrwaliśmy z zawiasami. Wyskakiwaliśmy w ostatnim momencie. Ogień pochłaniał strzechę. Któryś był na tyle przytomny, że złapał za grzbiet Bazylego.

Nie, nikt do nas nie strzelał. Napastnicy bali się widać, by strzały nie ściągnęły innych plutonów. Zginęli tylko wartownicy.

Obława trwała jeszcze kilka dni. Bandytów wreszcie złapano.

Kiedy wróciliśmy do koszar, dowódca jednostki przyrzekł nam, że Bazyli pozostanie na zawsze na żołnierskim żołdzie. Niestety, coś tam z prawą tylną łapą kota nie było w porządku. Zanieśliśmy go do weterynarza. Okazało się, że była złamana, nic się już nie dało zrobić, utyka więc do dziś.

A ja, jak widzisz, zostałem w wojsku, chociaż potem nasza jednostka została rozwiązana. Otrzymałem przydział tu. A ze mną przywędrował Bazyli, któremu nie tylko ja ale i wielu kolegów z tamtego plutonu zawdzięcza życie.

WIESŁAWA MROCZEK

*) KBW — Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

UWAGA! - ENTUZJAŚCI SPORTU!

RZUT PRZEZ BIODRO!

● Sam byłem świadkiem tego wydarzenia. Tuż przed wejściem do Akademii Wychowania Fizycznego jakiś chłopak pociągnął za warkocz dziewczynkę z tarczą szkoły nr 68 na rękawie. Upuściła teczkę na ziemię i natychmiast się rozpłakała. Ale... idąca z nią koleżanka — mała szczupła, znacznie niższa od łobuziaka — schwyciła go za rękę, przerzuciła przez ramię i błyskawicznie rozciągnęła na asfalcie. Przyznam się, że byłem zdumiony jej wyczynem. Dlatego spytałem:

— Kto cię takiego chwytu nauczył?

— Chodziłam na zajęcia judo w klubie „Siobukai" w AWF. Tam można zdobyć prawdziwe mistrzostwo!

Zadzwoniłem do „Siobukai", rozmawiałem z panią Jadwigą SŁAWSKĄ — widzicie ją na zdjęciu — i umówiliśmy się, że gotowa jest pokazać walkę sportową w judo wszystkim dziewczynkom. A zatem.

Zapraszam dziewczęta i chłopców także, 16 grudnia, we wtorek do sali judo w Centralnym Ośrodku Przygotowań Olimpijskich, mieszczącym się w AWF przy ul. Marymonckiej.

Spotykamy się przed bramą. Czekam!

Sekretarz Harcerskiej Akademii Olimpijskiej

Foto: E. Warmiński

ZAPROSZENIE

Rektor Harcerskiej Akademii Olimpijskiej zaprasza kol. . . . . na spotkanie z mistrzami judo.

Spotkanie odbędzie się w dniu 16 grudnia 1969 roku o godz. 15,30 w jednej z sal Warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Zbiórka przed wejściem do AWF-u.

(Pieczątka redakcji)